

Marzec '68

Służbę wojskową rozpocząłem po lutowej przerwie semestralnej w słynnym marcu '68 roku. Ze względów historycznych pozwolę sobie krótko opisać te kilka dni przed założeniem munduru i dlatego rozpocząłem studia i służbę wojskową w tak nietypowym terminie, bo w marcu.

Wydział Elektroniki Politechniki Warszawskiej w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych był jednym z najbardziej obleganych wydziałów w Polsce, jako bardzo prestiżowy i atrakcyjny. Ilość kandydatów wielokrotnie przekraczała limit wolnych miejsc. Aby temu zaradzić i przyjąć jak najwięcej studentów, oraz aby „obłożenie” w laboratoriach było równomierne w ciągu roku akademickiego władze wydziału wprowadziły dwukrotną rekrutację na studia: w październiku i marcu każdego roku.

W marcu '68 roku zrealizowałem marzenie swojego życia. Udało mi się dostać na Politechnikę Warszawską, na oblegany Wydział Elektroniki, co prawda nie w cuglach lecz ledwo, ledwo. Listę przyjętych zamykało moje nazwisko. Na moje usprawiedliwienie powiem, że egzamin był wybitnie konkursowy. O jedno miejsce walczyło kilkunastu kandydatów. Nie muszę dodawać, że większość laureatów olimpiad fizycznych i matematycznych też miało aspiracje podobne do moich, z tym, że oni nie przeżywali egzaminacyjnych stresów. Ich gwarantowane przyjęcie automatycznie zmniejszało szansę średniaków takich jak ja.

O miejscach rektorskich dla uprzywilejowanych nie wspomnę. Ponadto, pierwszy sekretarz wojewódzki na swoim terenie, członkowie Biura Politycznego KC PZPR, jedynej słusznej partii, załatwiali przyjęcie na studia na terenie całego kraju. Podobno na mniej ważnych uniwersytetach krewni i dobrzy znajomi wyżej wymienionych nie musieli wcale zdawać egzaminów. Podobno...

– Słuchajcie towarzyszu rektorze, mamy, tego, no wiecie towarzyszu rektorze, przyjaciela *Mietka Moczara*, pamiętacie go, taki niski, czarny, trochę ponurowaty, żadnej towarzyszce nie przepuścił, ale cholernika lubiły baby...

– Nie wiem, za co? To znaczy wiem, za dobry charakter łeh, łeh, łeh....

– Trzeba sobie pomagać! Towarzysz Piasecki, stary towarzysz, ale ma zdrowie. Od piątej czy szóstej żony, trzydzieści lat młodszej, ich syn chce być inżynierem na poczie....

– Oczywiście, że zdał, partia przekrętów nie toleruje.

– No, ten tego, to pamiętajcie towarzyszku rektorze i załatwcie! Nie musicie już dzwonić....

– No, ten tego, Józek Piasecki ojciec studenta, którego przyjmiecie, dobry chłop, chyba już mówiłem: umie wypić i dobre polowania robi... Jego syn Pepe, curwa co za imię, może ta jego młoda hiszpańska żona to jest... jakaś córka towarzysza z 36 roku, cholera wie. Pamiętam, że w '36 w Madrycie, komunistki z całego świata, głównie z Ameryki, to do towarzysza Piaseckiego drzwiami i oknami się pchały. Wcale się nie opędał. Nie znał języków obcych, ale miał chłop zdrowie, curwa, mówiłem to już.

– Pamiętajcie Pepe Piasecki z Lublina, rocznik 49.

– No wicie towarzyszku rektorze. Podziękuję wam osobiście na polowaniu w *Arłamowie*...

– No to cześć towarzyszku rektorze. Dziękuję wam w imieniu służby, partii i swoim. Czołem!

I jedno miejsce mniej. Takich telefonów, w okresie egzaminów wstępnych było w całej Polsce, jeżeli nie setki to dziesiątki.

Udało mi się! Miałem cholerną satysfakcję. Po wielu perypetiach, strasznych kosztach ponoszonych przez moją Matkę na dodatkowe korepetycje i specjalne kursy. Po permanentnie zarywanych nocach zostałem studentem. Podsumowując, byłem szczęśliwy, że załapałem się na ostatnie miejsce do peletonu o nazwie Elektronika i miałem ambicję, bez względu na oczekujące mnie trudności, ukończyć ten wyścig - wyścig szczurów.

Postaram się opisać, o ile pozwoli mi pamięć, te pierwsze kilka dni mojej edukacji na Polibudzie. Możliwe, że coś pomyliłem, coś przekręciłem, jakieś zdarzenie przedstawiłem źle chronologicznie. Mam nadzieję, że naoczni świadkowie mi wybaczą, a potomnym będzie raczej to obojętne, o ile w ogóle będzie. Minęło już ponad trzydzieści kilka lat.

Autor zastanawiał się długo, czy rozdział Marzec '68 mieści się w konwencji tej książki. Czasy studenckie, hipisowsko-pacyfistyczne, długie włosy, kolorowe ubranka i koraliki, Flower-Power, „free

love” nie bardzo pasują do tematyki wojskowej, chyba że na zasadzie „woda-ogień”. Przekonał go dopiero Marek C., absolwent wydziału Mechaniczno-Energetyczno-Lotniczego Politechniki Warszawskiej, który tak jak on miał 50% sprawność studiowania. Rok studiował przez dwa lata - tylko z innego powodu, właśnie militarnego, i dlatego ten rozdział, Marzec '68, „pisarz wojskowy” postanowił dołączyć.

W trakcie rozruchów marcowych nasz bohater, „pisarz wojskowy” mógł trafić do armii, tak jak to się przytrafiło jego rówieśnikowi. Jedynym powodem, dla którego spędzili dwa lata w zapadłej jednostce Okręgu Pomorskiego, w kompanii wartowniczej jakiegoś batalionu kolejowego, pilnując magazynów materiałów pędnych i zardzewiałych szyn kolejowych, było to, że znaleźli się na Starym Mieście 8 marca '68, późnym popołudniem. Wtedy do akcji włączyły się specjalnie wyekwipowane oddziały milicji. Tłum został brutalnie potraktowany. Dziesiątki osób zostało spacyfikowanych i załadowanych do suk. Większość wylądowała w pałacu Mostowskich. Złapanych traktowano różnie. Zdarzało się, że bardziej zaangażowanych w „mącenie” wypuszczano, a niewinnych, nie zorientowanych, nie wiedzących, o co chodzi wysyłano w kamasze. Ja, „pisarz wojskowy” do połowy 1968 roku nie miałem pojęcia o co chodziło. Kto był inspiratorem tych zajęć zwanych później wypadkami marcowymi...?

Koło posiadłości mojego dziadka po kądzieli, Józefa de Poray Habrowskiego, (o którym piszę dość obszernie w połowie książki), w Lublinie, była i jest stacja CPN (obecnie po zmianie właściciela i reorganizacji nazywa się Orlen), na niej pracował pan Miecio, znajomy dziadka, który imponował mi wtedy tym, że miał pistolet TT i przychodził do dziadka postrzelać. W tamtych czasach byle kto nie dysponował pozwoleniem... Obaj mimo różnicy wieku bardzo się lubili, często się spotykali, pan Miecio podobno bezinteresownie, po przyjacielsku pomagał w prowadzeniu dziadkowego gospodarstwa. Obaj za kołnierza nie wylewali, obaj byli smakoszami gatunkowych wysokoprocentowych trunków. Kiedyś podczas strzelania, gdy starsi panowie przesadzili z degustacją „żołądkówki mocnej” z dziadkowej destylarni, dowiedziałem się, że w latach 43-44 towarzysz Moczar chodził po prośbie z „klamką” w towarzystwie kolegów partyjnych po lubelskich wsiach i ten tego... I pan Miecio powiedział mi małe co nieco na temat Żydów, przedstawił ze szczegółami życiorys Mieczysława

Moczara, przypominał niektóre zdarzenia z życia tego prominenta, których był naocznym świadkiem. Wtedy to, po raz pierwszy miałem taki wykład z najnowszej historii, usłyszałem coś na temat syjonizmu i antysyjonizmu, dlaczego zmuszano Polaków pochodzenia żydowskiego do wyjazdów, czyli do emigracji itd. Później, to już sam, z własnej inicjatywy szukałem informacji i wyjaśnień...

Do końca nigdy nie wiedzieliśmy, dlaczego jednych wcielali do wojska w ciągu 24 godzin, a innych co teoretycznie na to zasłużyli, nie! Większość relegowanych, w końcu, po latach pokończyła studia. Na pewno byli tacy, co zrezygnowali z trzech literek przed nazwiskiem z powodu służby wojskowej i zmiany środowiska. Z powodu zajęć marcowych niejeden, tak jak ja, delikatnie został pomacany paszтетówką, ale po kilku tygodniach ślady na ciele mi znikły, a szykanowany nie byłem. Inni mieli mniej szczęścia. Taki Rysio Kleczyński pierwszego dnia stracił legitymację studencką i później ciągle odmawiano mu paszportu, może z tego, a może z innych przyczyn. Twierdził, że z tych...

Przypadek Marka C. był klasyczny. Nawet on nie bardzo wiedział, dlaczego znalazł się w wojsku. Jego historię poznałem najwcześniej z tych wielu opowieści, które później co rusz się słyszało od znajomych o znajomych (albo poznawało się po paru latach od bezpośrednio poszkodowanych). Z nim kolegowaliśmy się w szkole podstawowej i średniej. Gdy obaj znaleźliśmy się w stolicy na studiach, to siłą rzeczy z powodu braku nowych znajomości kultywowaliśmy starą. Krajanowi na Starym Mieście podczas zamieszek ktoś wręczył ulotki gdzie było napisane, dlaczego wyjeżdżają Żydzi do Izraela, po co, co „złego” zrobili, jak „prawdziwi, porządni Polacy” powinni się zachować! Mój koleśka nic nie rozumiał tak samo jak ja i pewnie dlatego zatrzymał tych kilka ulotek na zasadzie czegoś nowego, nieznanego, może atrakcyjnego. Ktoś z akademika, jakiś kolega doniósł... Przyjaciół z późnego dzieciństwa po tygodniu był w jednostce, a po 4 miesiącach na pierwszej przepustce w rodzinnym mieście.

Wtedy spotkaliśmy się i Marek C. powiedział mi, że właściwie to nie wie, dlaczego jest w wojsku. On do końca nie był przekonany, że to z powodu ulotek, bo twierdził, że dużo ludzi je miało, raczej z powodu udziału w manifestacji. Na bieżąco znałem jego losy i współczułem mu. Spędził dwa lata w kamaszach, magistrem został

trzy lata po rówieśnikach i wspomina ten okres bez entuzjazmu, ale się nie okaleczał z tego powodu. Jedynym plusem tej zabawy, tych „wczasów na koszt MON-u” było to, że już nigdy nie uczęszczał na zajęcia wojskowe. Nosił długie włosy dopóty, dopóki mu nie wylazły, ekstrawaganckie spodnie i buty wyprzedzające modę, preferował raczej kolor czarny, nigdy zielony. Gdy inni szli na „wojnę”, na ulicę Koszykową do Studium Wojskowego, on spał do dwunastej albo dłużej, ale tylko tego dnia.

Parę lat później poznałem kilku kolegów z Poligrafii, którzy tak jak my znaleźli się pod pomnikiem Adama Mickiewicza. Ich wina nie była większa niż nasza, dokładnie taka sama. Tak jak my poszli, żeby zobaczyć. Tak jak my uciekali. Nie dostali, ani więcej ani mniej. Ich zwinęli, mieli takie „szczęście”. Niestety wycieczka kolegów nie skończyła się dla nich zbyt fortunnie w Pałacu Mostowskich. Za podżeganie do walki z Władzą Ludową podczas demonstracji, chłopaki trafili, chociaż bardzo nie chcieli, na dwa albo trzy lata do służby zasadniczej. Zdarzało się, że złapanych studentów podczas manifestacji politycznych po krótkim przesłuchaniu w przyspieszonym trybie, bez możliwości obrony, prawie natychmiast wcielano do wojska. W ciągu najbliższych dwóch, trzech dni mieli wszystkie egzystencjalne potrzeby zaspokojone przez Ojczyznę i na delikwenta oczekiwano z „fanfarami i pocztą sztandarową” w jednostkach. Relegowano ich niezasłużenie. Po prostu, znaleźli się w nieodpowiednim miejscu i w nieodpowiednim towarzystwie. Mieli pecha. O tych wcielanych niesprawiedliwie do wojska nikt się nie upominał. Nikt ich nie bronił. W każdym razie ja nie słyszałem...

Studenci imponowali „wojsku” i kadrze. Generalnie żołnierze i kadra, absolwenci Akademii Politycznych („Akademii Pierwszomajowej”, „Akademii Październikowej” - tak wtedy mówiono) mieli jakieś kompleksy na punkcie wykształcenia i podziw, że można inaczej niż chce matka – Partia, przewodzić siłom narodu. Studenci często szli w innym kierunku.

Najpierw studenci, później żołnierze, na studia wracali po kilku latach. Nie słyszałem, żeby kogoś w jakiś specjalny sposób szykanowano czy gnębiono, tylko standardowo, jak młodego, jak poborowego, jak kota.

Pierwszy dzień, ósmy marca 68 roku, to było nowe życie. Dostałem indeks z rąk dziekana, pana profesora Stanisława Sławińskiego. Uroczystość nie trwała długo, więc po południu, w ramach integracji z nowymi kolegami poszliśmy połączyć się po Starej Warszawie, zobaczyć ruiny Zamku Królewskiego i pooddychać powietrzem stolicy. Przejście na piechotę z Politechniki, ulicą Koszykową przez Świętokrzyską do Nowego Świata trwało około pół godziny. Już na ulicy Świętokrzyskiej i w alejach Jerozolimskich było widać dziwne „wędrowniki”, jakieś ludzkie ruchy Brauna. Młodzi ludzie biegali, krzyczeli, ale to były grupki kilku, kilkunastoosobowe. Na Nowym Świecie koło pomnika Kopernika zebrało się dużo osób, bardzo dużo, tłumy. W pewnym momencie wszyscy zaczęli uciekać do kościoła św. Krzyża. Nie zastanawiając się robimy to samo. To była dobra decyzja, bo milicja rozpoczęła pałowanie.

Nie rozumiałem powodu tej napaści. Pierwszy raz widziałem coś takiego. Byliśmy zdeorientowani. My studenci pierwszego semestru - Teletransmisja S 21. Personalnie pamiętam z tej grupki tylko Rysia Kleczyńskiego i Kryskę Gromadzką. Po pewnym czasie odważyliśmy się wyjść ze świątyni i kontynuować wycieczkę, ale powstał kłopot bo zgubił się nasz kolega, Rysio. Próba odszukania go nie dała rezultatów. Z tłumem doszliśmy do skwerku przed następnym kościołem. Z powodu ścisłości i „okoliczności przyrody”, to przestał być spacer. Na tym placu był pomnik Adama Mickiewicza, ale wtedy go nie widziałem, znaczy chyba widziałem, tylko nie wiedziałem, że to wieszczka, a może patrzyłem na coś innego. Oczywiście z każdej strony głowy. Zaczynały latać petardy i płytki chodnikowe, te mniejsze. Było nieciekawie, a co będzie zaraz, potem? Nie musiałem być jasnowidzem, by wiedzieć, że taka zabawa może się skończyć smutno dla uczestników. O co chodziło, nie wiedziałem. Kto ma pretensje i do kogo? Wszystko miało wymiar sensacji, niezdrowej, ale podniecającej sensacji. Czułem napływ adrenaliny, nieważne z jakiego powodu. Tłum rósł. Mnóstwo młodych ludzi. Studenci, może starsi licealiści i chuligani, tych ostatnich widziałem się w nadmiarze w tym miejscu. Wtedy i później, wielokrotnie zastanawiałem się skąd się ich tyłu „wystrasnęło” oraz jacyś agresywni robotnicy. Robociarze skandowali: „Wiesław, Wiesław”, „Syjoniści do Syjonu” lub „Syjoniści do Dajana”, albo krzyczeli: „studenci do nauki” lub „niech żyje towarzysz Wiesław”!

Na własne oczy widziałem jak na Stare Miasto zajęchały autokary z uzbrojonymi po zęby milicjantami, maski na twarzach, nie maskujące tylko ochraniające! Ochraniacze, tarcze, hełmy i „pasztetowy”. Zaczęła się rozróżba z rzucaniem kamieni, petard i parkowych ławek. Chuligani byli wyjątkowo sprawni i pomysłowi w walkach ulicznych. Robotnicy też. Studenci nadrabiali odwagą i brawurą. Strasznie mi imponował ich brak strachu przed milicją, kiedy odrzucali petardy z gazem łzawiącym, w ostatniej chwili, ale nie za późno. Petardy wybuchały w szeregach milicjantów, siejąc prawdziwe spustoszenie. Po paru latach, po odbyciu stażu w Batalionie Specjalnym w Czerwonych Beretach, po pewnych własnych doświadczeniach i rozmowach z różnymi ludźmi, doszedłem do wniosku, że mogli to być podstawieni prowokatorzy. Byli za sprawni, byli obcy w walkach w tłumie, mieli zimną krew i zachowywali



STUDENCI DO NAUKI

się tak, jakby nic im nie groziło, a przecież podnosili rękę na władzę! My, studenci od kilku godzin mieliśmy duszę na ramieniu. Widzieliśmy nieciekawe perspektywy. Postanowiliśmy wracać do domu akademickiego.

Wieczorem w Dzienniku Telewizyjnym widziałem nie do końca prawdziwe informacje na temat zajść, których byłem naocznym świadkiem i dalej nic nie rozumiałem. Dlaczego służby porządkowe były takie agresywne? Jakie były powody, kto inspirował te zajścia i dlaczego? Tego też nie wiedziałem. W tak zwanym międzyczasie wrócił Rysio Kleczyński. Był lekko przestraszony.

Kiedy ewakuowaliśmy się bez własnej woli do kościoła św. Krzyża, to na kościelnych schodach, od strony ul. Świętokrzyskiej wylegitymowało go dwóch milicjantów i przeprowadziło do pierw-

szej bramy w kierunku budynku Komitetu Centralnego. To była przejściowa brama i z drugiej strony stały „suki” - milicyjne więźniarki. W tej bramie, pod ścianami niebiescy z pałami oczekiwali na „delikwentów-pacjentów”. Nasz kolega widząc, co się święci zaczął się wyrywać, ale na próżno. Funkcjonariusze go zrewidowali. Miał przy sobie tylko legitymację studencką. Zabrali mu ją i chcieli go zmusić, żeby wszedł do bramy i zaliczył tzw. ścieżkę zdrowia. Z opresji wybawiła go jakaś starsza kobieta. W trakcie szamotaniny podeszła i ostrym tonem kazała Rysia puścić. Wywiązała się ostra sprzeczka słowna i koleś korzystając z zamieszania, wyrwał się i uciekł. Relacjonując mi to był zdenerwowany i przestraszony. Legitymację stracił. Padła łupem milicjantów. W ciągu kilku dni bez problemu, po wyjaśnieniach pan dziekan wydał mu nową.

Miałem osiemnaście lat i świat leżał mi u stóp. Tak mi się wydawało. Nic nie rozumiałem, polityką się nie interesowałem. Myślałem tylko o sobie i z ufnością patrzyłem w przyszłość.

Rano, 9 marca 68 jestem pierwszy raz na prawdziwych zajęciach. Ludzie, którzy mieszkają w Warszawie, przebąkują, że ma być czy jest jakiś strajk okupacyjny. Nie wiem, o co chodzi. Wykład zaczyna się punktualnie i normalnie. Matematyka. Żadnych oznak, że coś jest nie tak. Wykładowcą był sławny profesor Wojciech Żakowski, znany autor kursu matematyki dla kandydatów na wyższe uczelnie techniczne, ze swadą przeprowadzał wywód. My pilnie notowaliśmy pierwszy wykład. Nagle jakiś hałas, rumor. Wszyscy się odwrócili z wyjątkiem prowadzącego zajęcia. Na salę weszło kilku mężczyzn.

– Panie profesorze, nie słyszał pan, że na uczelni proklamowano strajk?

– Jesteście łamistrajkami?

– Czy mamy użyć siły?

Nikt nie lubi być łamistrajkiem, nawet jeśli nie wie, o co chodzi. Ja się nawet nie domyślałem, ale myślę, że wykładowca wiedział. Profesor wyraźnie stracił chęć kontynuowania zajęć, zwłaszcza, że ci, co przyszli byli bardzo stanowczy, nie agresywni, ale stanowczy.

– Panie i panowie, najlepiej wracajcie do domów, do akademików - usłyszałem.

– Nie wiadomo, co będzie się działo. Na pewno sytuacja się wkrótce wyjaśni.



Profesor próbował jakoś się znaleźć w niezręcznej sytuacji. Zdezorientowani, spakowaliśmy notatniki, podręczniki i wracaliśmy do domu na Wolę. To znaczy usiłowaliśmy wracać, albo myśleliśmy, że wracamy. Przy wyjściu z Wydziału Elektroniki stała grupa zbrojnych. Ogromnych wypasionych, zdecydowanych i zdeterminowanych oprawców. Kilkunastu w pełnym rynsztunku. Kosmici. Hełmy, tarcze, wszyscy uzbrojeni, po zęby, w ogromne pały zwane pasztetówkami, białe, dużo większe od standardowych. Połowa tych „kolesiów”, znaczy się niebieskich, patrząc na nas wyzywająco, biła się tymi pasztetówkami po udach. Druga połowa waliła nimi prowokująco w otwartą dłoń. Nie wiem, co się stało, jakieś krzyki, wrzaski, zamieszanie. Widzę, że coś się dzieje, ktoś oberwał, jeden, drugi, trzeci. Ktoś leży. Ktoś histerycznie krzyczy. Rozglądam się zdezorientowany. Zaczynam, a raczej zaczynamy uciekać. Goni nas kilku milicjantów. Biegniemy wzdłuż budynku Wydziału w kierunku bazaru na Polnej. Śmieję się histerycznie, przypomina mi się epizod sprzed kilku lat gdy zule ze Starówki w Lublinie, moi rówieśnicy, sprawdzali, czego nauczyliśmy się na kursie samoobrony. Wtedy, też uciekaliśmy, ale szanse były równe, ze wskazaniem na żulików, bez żadnych narzędzi, żadnych pał ani tarcz. O pasztetówkach nie wspomnę. Kto wówczas się zatrzymał, kto zwolnił, ten poległ. Tu było tak samo. Jakaś dziewczyna z naszej grupy potknęła się i wy-

wróciła. „Bohaterzy” - milicjanci zaczęli leżącą okładać pałami. Szkoda rąk, czy co? Kopali ją gdzie popadnie. Na nogach nie mieli japońskich kłapek ani filcowych bamboszy. Każdy potężnie zbudowany, zdrowy. Na oko kategoria A z tak zwanym wskazaniem. Taką dostawali tylko piloci, spadochroniarze i załogi okrętów podwodnych. W swoją ciężką pracę wkładali dużo energii, zaangażowania, jakby nie robili tego bezinteresownie, za jakąś premię? My dżentelmeni uciekamy dalej. Przez umysł przeleciała mi myśl, że kobiety nie można uderzyć nawet kwiatkiem. Ktoś zauważył, że goni nas już tylko dwóch aktywistów, nadgorliwców. Reszta została przy leżącej. Wstąpił w nas szal, duch walki, bo proporcje sił zmieniły się diametralnie. Ktoś tam dostał, tłum ogarnęła histeria i żądza mordy. Nad ryzykiem, ani konsekwencjami nikt nie myślał, zresztą nie było czasu spekulować. Niejednego piekły plecy, niejeden kulał bez powodu. Gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą! A rano pierwszy raz szliśmy na wykłady, na wymarzoną uczelnię.

Funkcjonariuszy jest dwóch, nas wielokrotnie więcej. Zmiana! „Chłopaki” zdziwione, pewnie nie często znajdowali się w tak niekomfortowej sytuacji. Jak zmiana, to zmiana. Z psa zrobił się zając, a potem mięso zająca. Zabrano im tarcze, hełmy i pasztetówki. Zbrojni bardzo szybko znaleźli się w parterze, zapoznali się z glebą. Tłum był w morderczym amoku. Każdy chciał przywalić, kopnąć leżącego, chociaż podobno w cywilizowanym świecie tego się nie robi. Nawet koleżanka pobitej studentki, filigranowa blondyneczka z mściwą satysfakcją masakrowała twarz milicjanta przy pomocy masywnego kufierka, jaki w tym czasie nosiły elegantki. Wcześniej bym powiedział, że komara by nie zabiła. Gdybym ją spotkał, w Łazienkach czy na Polibudzie to chętnie bym się z nią umówił na oglądanie kolekcji znaczków czy motyli. Obojętnie! Chociaż po tym jak widziałem ją w akcji, chyba bym nie skorzystał. Ze strachu! Jak to pozory mylą!

Tego dnia karząca ręka władzy ludowej nie mogła zaliczyć do udanych. Pięciu albo więcej wściekłych na jednego to i pała nie pomoże, nawet model bojowy ostatniej generacji. Tryumfalnie wróciliśmy, tam skąd pół godziny temu wyszliśmy, czyli na Wydział Elektroniki, niosąc tarcze i pasztetówki, przymierzając podeksytowani zdobyczne hełmy. Z tym triumfem, to nie było tak dobrze do końca. Raczej po chwilowej euforii każdy miał portki pełne, ze strachu. Niebiescy się nie patyczkowali. Od ulicy Polnej zajechały ciężarówky. Wylazło

z nich kilkudziesięciu. Trzydziestu, czterdziestu? Dzisiaj i tak to nie ma znaczenia. Każdy super wyszkolony, sprawny, bez zbędnego zastanawiania się wie, co robić, to znaczy łać bez względu na płeć, rasę, kolor skóry, orientację seksualną czy preferencję polityczną, chociaż ogólnie wiadomo, że istnieje jedyna. Słuszna! I szli spychając i waląc wszystko, co się ruszało, pobitych wrzucano do suk. Taki sak. Rybacy i wędkarze wiedzą, o czym piszę.

W międzyczasie dowiadujemy się, że Gmach Główny jest zamknięty. Rektor Smoliński podjął taką decyzję. Musimy zawrócić, dalszy marsz w tym kierunku byłby ewidentną stratą czasu, nie mówiąc o perspektywie bezinteresownego pobicia przez siły porządkowe. Zamiast nas bronić, to wprost przeciwnie. Jedyny odwrót to Wydział Elektroniki. Żeby tylko nie był zamknięty. Nie tylko nie był zamknięty, to jeszcze otwarty na oścież. Ogromne szyby na parterze zostały wybite. Tysiące kawałeczków szkła na chodniku i trawniku. Na wejściowych schodach tłum starszych kolegów. Przed 10 minutami odparli zmasowany atak niebieskich, zdobyli nawet tarczę i hełm. Dowiaduję się, że pół godziny wcześniej dziekan Stanisław Sławiński kazał otworzyć drzwi na Elektronikę, żeby bici studenci mieli gdzie się schronić. Tak to uratowano niejednego przed pobiciem i innymi nieprzyjemnymi konsekwencjami. Aktualny stan uzbrojenia aliantów to trzy hełmy, trzy tarcze i dwie pasztetówki. Czekamy na rozwój wypadków wymieniając się informacjami z frontu. Dalej nie wiem, o co chodzi?! Ktoś coś mówi o Mickiewiczu i o „Dziadach”. Co do tego mają Żydzi? Kto to Kuroń, Michnik czy Modzelewski? Jacy komandosi? Jacy spadochroniarze?

Zastanawiamy się oczekując na pacyfikację, zbroimy się. Bardzo aktywny w tym i pomocny jest stary szatniarz. Dowiaduję się, o wydarzeniach na wydziale, które miały miejsce, gdy robiliśmy za zajęcie. Na miejscu nie było lepiej. Pasztetówki kontra szturmówki, kute popielnice kontra pasztetówki. Profesjonalizm niebieskich przeciwko naszej ambicji i determinacji. Kilkunastu mundurowych nie sforsowało schodów. Ze stratą hełmu i tarczy wycofali się. Wykładowców i asystentów już nie było, gdy wróciliśmy. Sekretariat zamknięty. Szatniarz wydał skrzynkę butelek z mlekiem pełnotłustym, nie wnikalem, skąd. Skąd wziął, a nie, dlaczego tłuste (gwoili informacji historycznej, kapsel złoty-tłuste, srebrny-chude, dla młodych i tych, co zapomnie-li). Potem wydał gaśnice - sztuk dwie, z tych dużych. Nie wiedziałem,

po co, przecież się nie paliło. Mleko było gratis, trzeba było wypić albo wylać. Butelki robiły za koktajl Mołotowa dla ubogich albo bezbronych. Na bezrybiu i rak ryba. Czekaliśmy na rozwój wydarzeń. Czekalem także, aż mi ręka uschnie, albo ją odrąbią. Sugerował to premier Cyrankiewicz już w 1956 roku. A tu spokój! Kilka godzin minęło. W oczekiwaniu na pacyfikację, jakoś nic się nie działo i generalnie nikt nie ucierpiał, tylko duża witryna na parterze zmieniała się w tysiące szkiełek.

Funkcjonariusze zgrupowali się przed wydziałem, na placu Jedności Robotniczej, my w środku. Ciszę zakłócały przepychanki słowne. Z obu stron wymieniano głównie opinie o mamusiach swoich interlokutorów. Poleciało kilka czy kilkanaście butelek po mleku i piwie, chyba piguły śniegowe też. Granatów łzawiących użyto na Uniwerku, u nas nie, może nie mieli, a może nie było rozkazu. I to wsio! W tym czasie obowiązywało niepisane prawo autonomii wyższych uczelni. Nikt bezkarnie, bez nakazu nie mógł wejść na teren polibudy. Taki azyl. Tak samo było w kościołach. Chyba? Psy mogły tylko szczeleć i warczeć, ale jak tu ugryźć jak „łańcuch za krótki”.

Ktoś w ferworze walki słownej uruchomił gaśnicę, ale bez potrzeby. Hełmy i pały w końcu oddano właścicielom, którzy zapewne po zaopatrzeniu medycznym, do domu się nie udali. Nie mieli siły. Taki zawód, ale za to „konsekwencji” nikt nie poniósł. Obie strony konfliktu, którego nie rozumiałem, czekały. Chyba nie było wyraźnych dyrektyw, to były pierwsze godziny konfrontacji. Później, spokojnie, już bez incydentów wszyscy się udali w „rejony zakwaterowania”: władza i studenci. Z dużej chmury mały deszcz. Myślałem, że zaliczę dołek i atrakcje z nim związane. Wyobraźnia pokazywała mi ścieżki zdrowia i SB-beków zaangażowanych w ciężką i odpowiedzialną misję na socjalistycznym polu wychowawczym. Na koniec refleksja i rodzaj szoku, bo przeżyłem coś, co do tej pory nie było mi dane. Jeszcze dzień wcześniej byliśmy grzeczni, kulturalni, sympatyczni, młodzi. Nie znaliśmy odczucia bezradności, bezsiły i przemocy. Nieoczekiwanie przeżyliśmy rodzaj gwałtu ze wszystkimi szykanami. Po incydentach z milicjantami byliśmy już tylko młodzi. Różnica kilkunastu godzin, a jaka zmiana podejścia do życia.

Dzień wcześniej nigdy by mi do głowy nie przyszło, że kilkunastoletnia dziewczyna, nawet nie kobieta, będzie kopać w twarz

milicjanta. Że my, kwiat młodzieży, przeszkadzając sobie nawzajem, pobijemy „bezbronnych” przedstawicieli władzy. Godzinę wcześniej funkcjonariusze byli „bronni”, o czym przekonały się moje plecy, ręce i nogi.

Po południu, pełni wrażeń, wróciliśmy do akademika na ulicę Księcia Janusza. Wieczorem narada, co robić. Już było wiadomo, że zajęć nie ma aż do odwołania. W telewizji, w specjalnym programie oglądaliśmy „chuligańskie wybryki” ludu warszawskiego. W nocy czułem dziwny ból pleców. Wytrzymałem do rana. Wtedy z Maćkiem Puchałą, góralem z Limanowej, kolegą z grupy i pokoju obejrzałem, co mnie boli. Okazało się, że mam na plecach ogromnego iksa. Każda kreska miała około 30 cm. Owoc wczorajszych zabaw. Pręgi z wątpliwym zadowoleniem, oglądałem grubo ponad miesiąc. Zmieniały tylko kolor. Najpierw były czerwone, potem granatowe, brązowe, w końcu seledynowo-żółte. Ostatni ślad siniaków znikł po prawie dwóch miesiącach, dawno po strajku. Gdyby to nie były moje plecy, powiedziałbym, że kolory wyglądały nader malarsko.

Dziesiątego marca moi współspacze postanawiają zostać w pokoju czyli w domu akademickim. Mają dość wrażeń, boją się, ale ja mimo wszystko postanowiłem dotrzeć na uczelnię. Gdybym radził się rodziców jechać, czy nie, Matka by mi radziła zostać, a Ojca nic by to nie obchodziło. Rób jak chcesz. On by raczej pojechał. W kwestiach pedagogicznych rodzice rzadko mieli takie same zdanie. Zwyciężyła opcja Ojca. Jadę! Na wydziale pustki. Prawie nikogo nie widać. Cisza. Spokój. Tylko wczorajszy bałagan, jakieś połamane krzesła, szkło i wyschnięta piana gaśnicza. Poza tym nic się nie dzieje. Szatniarz jest na stanowisku, mówi, że poza służbą porządkową, studentów o słusznej posturze pilnujących porządku i przestrzegania ustaleń strajkowych, nikogo nie było, nic się nie działo. Święty spokój. Jeszcze raz przeżywamy wczorajsze incydenty. Starszy pan zaczyna wspominać Powstanie Warszawskie. Uważam, że jest za bardzo sentymentalny. Nie widzę za bardzo punktów stycznych, różnica wieku między nami jest ogromna, mógłby być pewnie ojcem mojego ojca. A może się mylę? Starym, prawdziwym warszawiakom wszystko się kojarzy z Wojną i Powstaniem. Postanawiam pójść, tak jak radził pan K., wczorajszy lew i zbrojmistrz żółtodziobów, do gmachu Głównego Politechniki Warszawskiej. Po drodze zaglądam do wydziałowego Sekretariatu.

Gwoli sprawdzenia. Żeby pogadać z kimś starszym, tutejszym, doświadczonym. Zamknięte. Nikogo nie ma.



Plac Jedności Robotniczej. 9 marca 1968 roku.

Wyszedłem na Plac Jedności Robotniczej. Teren Politechniki Warszawskiej jest ogrodzony kutym, przedwojennym płotem. Solidne dębowe drzwi wejściowe skutecznie wytrzymują napór ludzi. Przed nimi tłumy: starsi, którzy dawno zakończyli swoją edukację, studenci, uczniowie, niebieskie ptaki (nie mylić z milicjantami), chuliganie oraz robotnicy. Tłok. Przed wejściem, a raczej w wejściu, stoi 4-5 potężnie zbudowanych młodych ludzi, którzy wpuszczają do środka, za okazaniem legitymacji studenckiej. Wchodzę. Sam. Nikogo nie znam. W auli zbierają się tłumy. Tysiące. Oblepione są krużganki, każdy metr kwadratowy wolnej powierzchni. Idę po schodach na wyższe piętra obejrzeć, co się dzieje. Z lotu ptaka widać lepiej. Jestem zdezorientowany, dalej nie wiem za bardzo o co chodzi. Ktoś narzeka na cenzurę, ktoś na prawdomówność dziennikarzy, wszyscy krytykują działalność milicji. Atmosfera patriotyczno-piknikowa. Co chwila ryki śmiechu, jakieś śpiewy, ktoś walczy z mikrofonem. Władze uczelni nawołują do spokoju i rozważi. Robię obchód Gmachu Głównego. Zaczyna się

wiec. Informacyjno-agitacyjny. Jakież władze uczelni. Rektor, chyba Smoliński mówi przez mikrofon, że z tłumem nie będzie ani rozmawiać, ani dyskutować. Tłum wyjąc i gwizdząc, krzyczy, że Lenin rozmawiał. Przez pięć minut nieustający ryk śmiechu. Ludzie przemawiają, co chwila jakieś oklaski, gwizdy, okrzyki. Wszyscy są dla siebie mili i sympatyczni. Ktoś przemawia, podając przykłady dziennikarskich kłamstw. Za chwilę tłum skanduje „Prasa kłamie”. Ktoś z trzeciego piętra zrzuca z krążganków płonące egzemplarze „Trybuny Ludu”. To reakcja na hasło „prasa kłamie” wciąż skandowane, „pra-sa kła-mie!”. To było najpopularniejsze hasło tego dnia. Następne o milicjantach i cenzurze, nie muszę dodawać, że wszystkie mają charakter pejoratywny. Oj, nie lubią studenci niebieskich, oj nie lubią! Przyłączam się do grupki kilkunastu studentów, większość to dziewczyny z Poligrafii. Po chwili jestem zakolegowany ze wszystkimi. Tłumy rosną, na oko jest kilkanaście tysięcy manifestantów. Jeżeli nikt nie przemawia, to czekając na następnego mówcę bawimy się skandując hasła: „Młodzież bananowa z Gołędzinowa” (Podoficerska Szkoła Milicji Obywatelskiej), „Kłamcy z Mysiej”, „Dać matury tym z cenzury”, (siedziba urzędu kontroli prasy i widowisk była na ulicy Mysiej koło Komitetu Centralnego). Naraz krzyczę „Każdego tajniaka do powszechniaka”. Nie było to może hasło wysokiego lotu, ale byłem naprawdę dumny z siebie, gdy cała aula Politechniki zaczęła skandować to, co wymyśliłem przed chwilą, ja, student o dwudniowym stażu. Satysfakcję mam do dnia dzisiejszego. Najpierw ja, potem 2-3 osoby przy mnie, potem kilkanaście, a potem kilka tysięcy i wszyscy... kilkanaście tysięcy gardeł płci obojga skanduje „Ka-żde-go taj-nia-ka do po-wsze-chnia-ka”. Znaczą, mam charyzmę i mogę pociągnąć za sobą tłumy.

Spotkałem wtedy Romka D. z „Zamoja”, (II liceum im. Hetmana Jana Zamoyskiego z Lublina), nie pogadaliśmy, bo się bardzo spieszył. W komitecie strajkowym odpowiadał za spanie i jedzenie tych, co strajkowali na okrągło. Pierwszej nocy strajku spało około 2 tysiące studentów. Romcio się pochwalił, że tak jak ja, wstępnie zaczął się integrować z dziewczynami z Poligrafii, ale starszymi. Na pogaduszki nie było czasu.

Ludność z Warszawy spontanicznie przynosiła jedzenie studentom. Jacyś rzeźnicy dostarczyli wędliny, sadownicy jabłka, piekarze chleb i bułeczki. Obok Politechniki, na ulicy Koszykowej były dwie cukiernie, jedna pana Wróbla i druga pana Donieckiego.

Obydwa właściciele przez cały dzień donosili na wyścigi dziesiątki blach z ciastkami. Różne. Najczęściej pączki i bajaderki. Najadłem się tych ciastek do bólu brzucha. Do dzisiaj nie jadam bajaderki i wcale nie dlatego, że to przegląd tygodniowy pracy cukiernika. Rozczulał mnie widok staruszek, nie tych eleganckich damulek, tylko biednych robotnic-emerytek. Babcie w wytartych paltach i chustkach - nasze kochane babcie! Z dymiącymi litrowymi słoikami-weckami jakichś zup i bochenkami chleba. Gdy zamknę oczy to widzę te stare kobiety, które przez sztachety kutego płotu podawały zupkę strajkującym studentom. W takich momentach Polacy są bardzo solidarni, inne nacje mogą nam zazdrościć poświęcenia i chęci niesienia pomocy w potrzebie. Gdy się stabilizuje sytuacja polityczna, zaczyna być normalnie, to publiczne sprawy mało kogo obchodzą. Polacy dostają zajoba. Zarówno zwykli zjadacze chleba jak i zwykli politycy, jednakowo, może politycy trochę bardziej.

Po kilku dniach strajk się zakończył, w miarę bezproblemowo dla mnie. Nie wiedziałem o co walczymy, ale walczyłem. Było bardzo, bardzo, ale to bardzo przyjemnie. Że, "prasa i tv kłamie", nie miało to dla mnie większego znaczenia i tak nie czytałem gazet ani nie oglą-



Gmach główny PW około 10-11 marca. Nad wejściem głównym „Rezolucja”, na frontonie „Strajk okupacyjny”.

dałem telewizji. Do dzisiaj mam znajomych ze wszystkich wydziałów Polibudy z tamtych czasów.

W swoich odczuciach nie byłem odosobniony. Pałac kotłowni w akademiku na Woli, też chyba nie bardzo wiedział o co chodziło. Przez te kilka dni ciągle powtarzał:

– Jeszcze nie zaczęli się uczyć, (to o nas, o roku S), a już panie, strajkują. Co z tego będzie? Żadnego poszanowania, żadnych zasad!

Zajścia marcowe przeżyłem bezboleśnie, nie licząc dwóch pał przez plecy i „drobnego” bólu. Ponieważ nie zostałem wyrzucony ze studiów, to dzięki temu spotkał mnie zaszczyt odbycia służby Ojczyźnie w Studium Wojskowym zamiast... Dlatego, między innymi, dołączyłem ten tekst „Marzec '68”.

Objaśnienia:

Arłamów - Rządowy Obiekt Wypoczynkowy gdzie często prominen- ci z tego okresu odpoczywali, odbywały się tam rauty i polowania. Chodziły plotki, że dla towarzyszy ze Wschodu sprowadzano żubry z Białowieży, żeby łowy były bardziej atrakcyjne. Podobno na etatach rządowych byli strzelcy wyborowi, którzy dublowali podczas polowań I-ych sekretarzy Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego Nikitę Chruszczowa i jego następcę Leonida Breżniewa, oraz ich prominentnych współtowarzyszy. „Pisarz wojskowy” uzyskał informację od oficerów Biura Ochrony Rządu z tego okresu, że były próby sprowadzania (takie przymiarki) egzotycznych zwierząt z Ameryki Północnej i Afryki, ale z przyczyn obiektywnych nic z tego nie wyszło. Bizony i niedźwiedzie grizzli nie przyjechały z powodu „zimnej wojny”, a transporty zwierząt z Afryki po pierwszej próbie aklimatyzacji zostały odesłane. Europejski klimat okazał się za zimny dla lwów, nosorożców i słoni.

KC PZPR - Komitet Centralny Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej (obecnie nie istnieje - wówczas organ wykonawczy jedynie słusznej organizacji).

Tow. Mieczysław Moczar - prominentny działacz PZPR, jeden z inicjatorów nagonki na Żydów w marcu '68 roku.

